

## **Ludwik Dorn o podmiotowości specjalnie dla TP. Część II: Polskie państwo europejskie zostało pozbawione autonomicznej podstawy legitymizacyjnej**

Istnienie elity, która komunikuje się ze sobą w ramach „doktryny państwowej” jest warunkiem niezbędnym do budowy i realizacji politycznej podmiotowości



**Istnienie elity, która komunikuje się ze sobą w ramach „doktryny państwowej” jest warunkiem niezbędnym do budowy i realizacji politycznej podmiotowości**

**Prezentujemy drugą część ankiety Ludwika Dorna, który odpowiada na nasze pytania dotyczące podmiotowości politycznej:**

**Przeczytaj część pierwszą**

**Jak ocenić ostatnie 25 lat postkomunistycznej transformacji pod kątem budowania polskiej podmiotowości?**

Krytycy postkomunistycznej transformacji, do których należę, przejawiają często niedobłą skłonność do ocen czarno-białych i do poszukiwania jednego kryterium i jednej miary albo też jednej przyczyny tego, że przez 25 lat podmiotowego państwa zbudować się nie udało; to kryterium, miarę lub przyczynę odnoszą do całego minionego ćwierćwiecza, a przecież był to okres o zmiennej dynamice i okolicznościach społecznych, kulturowych, gospodarczych i politycznych. Różne w tym czasie bywały obroty Fortuny. Przykładanie jednej sztancy i jednej miary, poszukiwanie jednej praprzyczyny widocznej porażki w budowie podmiotowości musi prowadzić do konfuzji intelektualnej i politycznej bezradności.

Istnienie elity, która komunikuje się ze sobą w ramach „doktryny państwowej” jest warunkiem niezbędnym do budowy i realizacji politycznej podmiotowości. „Doktrynę państwową” czy też samowiedzę państwa tworzą ludzie, ale działają oni w ramach instytucji, które

podtrzymują wspólny kod kulturowo-polityczny, narzucają role polityczne i sposób ich odgrywania, socjalizują nowych członków elity do funkcjonującej teorii rządzenia. Często cytuję zdanie z „Rozważań nad przyczynami wielkości i upadku Rzymian” Monteskiusza: „Gdy zawiązuje się społeczność, to przywódcy republiki tworzą instytucje; później to instytucje tworzą przywódców”. Czasy „zawijania społeczności” są niesłychanie rzadkie i zdarzają się wtedy, gdy w sposób istotny zostaje zerwana polityczno-instytucjonalna ciągłość i otwiera się innowacyjne okno możliwości. Tak stało się w Polsce, po 1989, ale to nie Polacy tworzyli podmiotowo swoje państwo. Owszem, powstawały i krzepły nowe instytucje właściwe dla państwa demokratycznego i gospodarki rynkowej, ale nie tworzyła się nowa „doktryna państwowa”, nowy kod polityczno-kulturowy. Nowe instytucje raczej „tworzyły się” niż były tworzone. Już pod koniec lat 90-tych ubiegłego wieku pisałem o „apatycznej i bezintencjonalnej rewolucji”, która przydarzyła się Polsce. Trzy były przyczyny takiego przebiegu procesu budowania nowego państwa i nowej gospodarki. Po pierwsze, ogólne duchowe nastawienie Polaków, którzy przywykli do tego, że rozjeżdżają ich „buldożery historii”. Kiedy buldożery historii zaczęły działać na naszą korzyść i w naszym interesie, przyjęto nastawienie, by iść za nimi i nie próbować nadawać im kierunku próbując wejść do kabiny lub idąc przed nimi, bo jeszcze coś złego się wydarzy i znowu zostaniemy rozjechani. Po drugie, budując państwo trafiliśmy w czas globalizacji, który zmuszał do przededefiniowania na poziomie operacyjnym pojęcia podmiotowości oraz na czas pełnego rozkwitu turbokapitalizmu, czy też „kapitalizmu kasynowego”, który sprawił, że żadna koncepcja typu „plan Marshalla” nie została nam przedstawiona, bo po prostu w ramach „konsensusu waszyngtońskiego” nie mogła być sformułowana. Takie to były czasy. Podmiotowość nie tylko Polski, ale też wszystkich krajów objętych nadzorowanym przez MFW procesem transformacji gospodarczej nie była w tym czasie pożądana. Krytycy transformacji gospodarczej mają

rację wskazując na jej „kolonizacyjny” charakter. Rzecz w tym, że masowna kolonizacja gospodarcza mogła być ograniczana, ale nie było szans na jej eliminację – byliśmy na to za słabi. Inna rzecz, że „kolonizatorom” szeroko otwierano drzwi uważając przy tym, że pełnią wobec nas, tubylców, misję cywilizacyjną, która niezmiernie pożytki nam przynosi. Po trzecie, podmiotem tworzącym „doktrynę państwową” mógł stać się w początkach III Rzeczypospolitej tylko relatywnie zintegrowany „solidarnościowy” obóz władzy, który nie powstał. Jeden był w owym czasie człowiek, który mógł go stworzyć i właśnie on robił wszystko, by samą możliwość jego powstania zniszczyć. Udało mu się. Tym człowiekiem był Lech Wałęsa. Nos Kleopatry, rola jednostki w historii...

Trzy powyższe czynniki sprawiły, że od początku poszliśmy ścieżką „modernizacji imitacyjnej”, która do połowy lat 90-tych przebiegała w warunkach aksjologiczno-egzystencjalnej próżni. Rozumiem przez to, że powszechnie uważano, że demokracja i kapitalizm mają być w Polsce „takiej jak na Zachodzie”, nie zauważając przy tym, że różne narody, a niekiedy kręgi cywilizacyjne „na Zachodzie” wytworzyły partykularne odmiany zarówno demokracji, jak i kapitalizmu, a tworzyły je nie jako lokalne odmiany uniwersalnego wzoru, ale coś, co im odpowiada. Z tego punktu widzenia „Zachód” jest fikcyjnym konstruktem intelektualnym, a nie zintegrowanym kulturowo realnym podmiotem, co dość oczywiste, ale w Polsce nie było zauważane. Na poważnie pytania o polską wersję państwa demokratycznego i polską wersję kapitalizmu zadawali sobie tylko odmienicy i dziwacy z marginesu. Na tym polegała próżnia aksjologiczna, gdyż odwoływano się do fikcji „Zachodu”, a nie do swoistej realności narodu. Próżnia egzystencjalna polegała zaś na tym, że w Polsce wprawdzie chciano, by w kraju było tak jak „na Zachodzie”, ale w twardych kategoriach politycznych Polska nie była na Zachodzie, a sam „Zachód” nie wiedział, czy chce, by Polska

w nim się znalazła. Do połowy la dziewięćdziesiątych leżeliśmy na ziemi niczyjej. W 1995 roku to się zmieniło, ważnym sygnałem było przemówienie Helmuta Kohla w Warszawie z zapowiedzią, że do 2000 roku Polska uzyska członkostwo w NATO i Unii Europejskiej. Oznaczało to, że po stronie „Zachodu” przekroczona została masa krytyczna, jeśli chodzi o te podmioty, które opowiadają się za włączeniem Polski w struktury europejskie i euro-atlantyczne. Próżnia egzystencjalna znikła, została wypełniona Zachodem, który nas „zechciał”. Wypełniona też została próżnia aksjologiczna: proces przebudowy państwa i gospodarki, który był warunkiem członkostwa w Unii Europejskiej, a był realizowany poprzez przejmowanie *acquis communautaire* uzyskał aksjologiczne podstawy unijno-europejskie. Nikt nie nakazywał na wyrzec się polskości, ale wiadomo było, że aby Polacy znaleźli swoje, w miarę bezpieczne miejsce pod słońcem, państwo polskie musi być przebudowane na „unijny” strój, a żadnego wybrzydzenia i marginesu dowolności być nie może. W latach 1995- 2004 zniknęła polskość jako kategoria kulturowo-polityczna, pozostała, jako kategoria kulturowo-apolityczna grawitująca w stronę kategorii folkloru. Miało to dwie niebagatelne dla starań o polską podmiotowość polityczną konsekwencje, obie negatywne.

Po pierwsze, polskie państwo europejskie zostało pozbawione autonomicznej podstawy legitymizacyjnej. Jeśli świeciło, to światłem odbitym, a źródłem światła była UE. Można uśmiechnąć się ironicznie lub wzgardliwie wzruszyć ramionami na to, że znana polska dziennikarka polityczna zapytana o to, jakie ma poglądy, odpowiedziała: jak to, jakie? Oczywiście normalne, europejskie. Nie można było jednak wzgardliwie wzruszać ramionami na to, że w 2005 roku zaufanie do instytucji unijnych deklarował dwukrotnie większy odsetek Polaków niż zaufanie do instytucji państwa narodowego. W krajach „starej” Unii proporcje były dokładnie odwrotne. Taki stan

rzeczy musiał zrodzić oczywiście reakcję, nawet jeśli mniejszościową, to bardzo silną. Właśnie w dekadzie 1995-2005 odżył stary, osiemnastowieczny spór między „swojskością” a „cudzoziemszczyzną”, który w następnym dziesięcioleciu z różnych przyczyn jeszcze się zaostrzył i sprawił, że emocjonalną podstawą konfliktu politycznego staje się polityka tożsamości. Tam, gdzie emocjonalnie konflikt polityczny napędza polityka ekspresji odmiennych, a przy tym wrogich sobie tożsamości, tam nie ma miejsca na grę o polityczną podmiotowość, która, przy wszystkich konfliktach, musi być działaniem wspólnym prowadzonym w imieniu i na rzecz całej, niekiedy mocno podzielonej wspólnoty.

Przy całym krytycznym nastawieniu do „europejskiego” etapu imitacyjnej modernizacji nie można zaprzeczyć, że w poważny sposób uporządkowała ona polskie państwo i reguły gry gospodarczej. Można zadawać sobie sensownie pytanie, czy gdyby nie ten proces wymuszonej europeizacji polska wspólnota polityczna znalazłaby w sobie dość siły, woli i umiejętności, by autonomicznie przeprowadzić niezbędne porządki. Jestem w tej kwestii pesymistą. W każdym razie powodzenie, nawet jeśli niecałkowite, tzw. kseromodernizacji miało z punktu widzenia szans na zbudowanie podmiotowości negatywny efekt uboczny: bardzo silną legitymizację efektywnościową zeuropeizowanej modernizacji imitacyjnej.

Jednakże smutek i pustka spełnienia 2004 roku – uzyskania członkostwa w UE – doprowadziły do tego, że kwestia podmiotowości pojawiła się ponownie jako problem w dwóch wymiarach: polityki rozwojowej oraz pozycji Polski w Unii Europejskiej.

Jeśli chodzi o politykę rozwojową zarówno rząd PiS, jak i PO nie podjęły nawet próby stworzenia polityki podmiotowej. Miarą politycznego sukcesu, przemawiającą do ogółu społeczeństwa, stało się pozyskiwanie środków europejskich oraz ich wydawanie, czyli skupienie się na wskaźnikach absorpcji. W dziedzinie pierwszej żaden z dwóch rządów nie poniósł porażki, ani nie odniósł oszałamiającego sukcesu ( bo zresztą z przyczyn oczywistych takiego sukcesu nie mógł odnieść). W dziedzinie wydawania środków obie ekipy prowadziły politykę implementacji celów unijnych, które uznawano za dane i niezmiennalne, w kontekst narodowy. Polityka rozwojowa miała charakter unijno-inercyjno - biurokratyczny. Doprowadziło to do zjawiska „dryfu rozwojowego”, w którym dostępna nadwyżka europejskich zasobów jest wykorzystywana w sposób, który nie prowadzi do wzmocnienia zasobów rodzimych.

Jeśli chodzi o zdobycie dla Polski podmiotowej pozycji w UE, to obie wspomniane ekipy identycznie definiowały problem: chodziło o wprowadzenie Polski do centrum decyzyjnego UE. Pomimo wyboru dwóch różnych dróg do osiągnięcia tego celu obie też poniosły porażkę. Prowadzona przez Lecha i Jarosława Kaczyńskich w latach 2006-2007, a przez Lecha Kaczyńskiego do 2008 roku polityka europejska była polityką wdarcia się do centrum decyzyjnego UE, co w owym czasie musiało polegać na przekształceniu unijnego G-5 ( Niemcy, Francja, Wlk. Brytania, Włochy, Hiszpania) w G-6 z udziałem Polski. Polityka ta poniosła porażkę w dwóch etapach. Najpierw w 2008 roku podczas wojny rosyjsko-gruzyńskiej. Prezydent Lech Kaczyński uczynił wtedy wszystko, co było możliwe. Zmobilizował politycznie przywódców regionu Europy Środkowo-Wschodniej, stanął na ich czele i poleciał z nimi do Tbilisi. Rozbił się o zamknięte drzwi saloniku, w którym realne, nie zaś symboliczne rozwiązania polityczne ustalali prezydent

Saakaszwili i negocjujący z premierem Putinem prezydent Sarkozy występujący jak szef państwa unijnej prezydencji. Tę porażkę widzieli wszyscy: sam prezydent Kaczyński, wrogi mu rząd polski, elity polityczne naszego regionu i elity „starej” Unii. Druga, ostateczna porażka na drodze obranej przez Lecha Kaczyńskiego nastąpiła w 2009, gdy w wyniku kryzysu finansowego zasadniczo zmieniła się architektura polityczna UE. G-5 zniknęła i nie było już gdzie się wdzierać. Pojawiło się mocarstwo europejskie samotnie królujące w ekstraklasie, czyli Niemcy, europejska I liga z Francją i Wlk. Brytanią oraz tylko po części Włochami oraz państwa II i dalszych lig.

Niezależnie od licznych, niekiedy poważnych błędów i jaskrawych niezręczności duet Tusk-Sikorski przy wsparciu od 2010 roku prezydenta Komorowskiego, zachowując cel strategiczny – wprowadzenie Polski do centrum decyzyjnego – dokonał istotnej zmiany stosowanych środków. Chodziło o to, by Polska z II ligi europejskiej weszła do pierwszej, nie kwestionując przy tym wyróżnionej pozycji Niemiec w ekstraklasie, a metodą było już nie wdzieranie się, ale wpraszenie się i wślizgiwanie w oparciu o próby ustanowienia special relationship z Niemcami z Polską w roli junior partnera. Taka była polityczna funkcja apeli o objęcie przez Niemcy przewodnictwa w Unii Europejskiej, wspierania Niemiec w ich polityce wobec kryzysu strefy euro, polityki wobec Rosji, której istotnym adresatem były jednak Niemcy: patrzcie, jak dalecy jesteśmy od polskiej „rusofobii”. Nieco zgryźliwie można określić tę politykę, jako demonstrowanie, że umiemy jeść nożem i widelcem i nucenie przy tym: „zaprosicie mnie do stołu, zróbcie mi miejsce między wami”.

Ta polityka poniosła porażkę w 2014 roku przy okazji kryzysu wschodniego. Okazało się, że dla Niemiec nie jesteśmy junior partnerem, którego egzystencjalne interesy są respektowane, lecz ulubionym klientem, któremu, gdy patron uzna, że jego egzystencjalne interesy muszą być naruszone, przyznaje się nagrodę pocieszenia: przewodnictwo Rady Europejskiej.

Zgryźliwość powyższego opisu nie oznacza, że dezawuuje zwrot w polityce polskiej od wdzierania się do wślizgiwania i wpraszenia. Taką próbę należało podjąć. Jak nie można przeskoczyć, to trzeba przeleźć. Jak nie można przeleźć, trzeba przepęłnić. Jednakże hipotekę autorów i wykonawców tej polityki obciążają dwa ciężkie grzechy, oba ważne, jeśli chodzi o szanse budowania podmiotowości.

Po pierwsze, karmiono opinię publiczną złudzeniem. O ile polityce „wdzierania się” towarzyszyła konstatacja: Polacy są dużym europejskim narodem i należy o naszą podmiotowość walczyć, bo podmiotowej pozycji jeszcze nie mamy, to polityka wślizgiwania uzasadniana była tym, że skoro zachowujemy się politycznie tak, jak ci mocniejsi od nas oczekują i kwitowane jest to przez nich wyrazami uznania, to oznacza to, że pozycję podmiotową już uzyskaliśmy. Służyło to demobilizacji i samozadowoleniu.

Po drugie i ważniejsze, z odmienności metody przy zachowaniu jedności celu strategicznego uczyniono zasadniczy punkt sporny w konflikcie wewnętrznym. Polityka zagraniczna stała się jedną z najważniejszych płaszczyzn starcia i linii podziału polskiego rozłamu domowego, co likwiduje wspólnotowy wymiar starań o uzyskanie

pozycji podmiotowej i podważa możliwość prowadzenia polityki podmiotowej, za którą w polskiej sytuacji musi stać cała wspólnota. Zaczął się od skrajnie niemądrego i szkodliwego przeciwstawienia „polityki jagiellońskiej” „polityce piastowskiej”, a następnie spór o politykę zagraniczną uzyskał własną samonapędzającą się dynamikę, przy czym jego druga strona nie pozostawała dłużna głosząc tezy o „kondominium niemiecko-rosyjskim” i „polityce świadomego szkodenia interesom narodowym”. Spory, a nawet konflikty o politykę zagraniczną zdarzają się, ale to na dzierżycielach władzy, którzy politykę zagraniczną prowadzą spoczywa obowiązek, by uzasadniać ją w sposób maksymalnie włączający, a nie wykluczający. Nawet do zdecydowanych wewnętrznych krytyków prowadzonej polityki mówić należy, jakby chciało się ich przekonać, a nie – wdeptać w ziemię.

Podsumowując: przez 25 lat transformacji udało się zbudować państwo wolne i niepodległe i co nieco je uporządkować. Nie udało się zbudować państwa silnego i podmiotowego.

*Ludwik Dorn*

Trzecia część ankiety jeszcze w tym tygodniu!